



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycyca główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebena i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

TEATR MORALNY.

W dniu drugim maja bieżącego roku odbyło się w Paryżu pierwsze posiedzenie towarzystwa, które nazwaćby można stowarzyszeniem ludzi szlachetnej woli—posiedzenie *Towarzystwa dla ulepszenia teatru we Francji* (Société pour l'amélioration du théâtre en France) a znany powieściopisarz, Paweł Féval, przemawiał do zgromadzonych o *teatrze moralnym*. Francya obrana z uroku dawnej chwały, pozbawiona dawnej potęgi, zachwiana w swoim stanowisku przewodnictwa między narodami, Francya upokorzona w dumie i godności narodowej, zraniona w najdroższych swych uczuciach, zdaje się obecnie rozglądać w przyczynach tego poniżenia, badać sama siebie—i ogół jej dostojnych myślicieli, cała wreszcie lepsza część francuzkiego narodu doszła do smutnego przekonania, że pierwszym i niezaprzeczoną powodem jej upadku, był brak moralności, brak tych uczciwie czystych obyczajów, które jedynie mogą dać narodowi siłę moralnej i materyjalnej wielkości. Podnieść się więc nad stan taki, otrząsnąć się z grubego materyjalizmu i nędznej chęci używania, rozbudzić szlachetniejsze dążności ku celom życia wyższemu, stało się dziś założeniem każdego zaanego Francuza, i oto jednym z prądów działalności takiej jest usiłowanie, aby sztuka dramatyczna została we Francyi uszlachetnioną, a teatr moralny, postawiony na miejsce niemoralnego, odpowiedział temu zadaniu, jakie sztuka w ogóle powinna pełnić w społeczeństwie. Ze przedstawianie przed oczyma publiczności obrazów zepsucia, psuje przez ścieranie uczuć delikatnych, przez osławianie z brzydota moralną, przez zajmowanie wyobraźni niskimi, nieszlachetnymi przedmiotami, które muszą koniecznie budzić wrażenia niskie i nieszlachetne, jest to rzecz

doświadczoną i ci tylko mogą to podawać w wątpliwosc, którzy zatracili już sami smak szlachetniejszy i wyższy pogląd na życie, którzy już nie mają żadnej poezyi uczucia, żadnej podniosłości umysłu. Mówca francuzki usiłował to dowieść publiczności swojej, że przy dzisiejszym układzie towarzyskim teatr ma znaczenie wagi wielkiej, że wpływa w sposób ogromny na poehód i jakość faktów społecznych.—Jest to—mówił—prawdą niezaprzeczoną, że skoro śmiech niezdrowy i denerwujący wybucha hałaśliwie, skoro ulubienie grymasów arlekińskich, uwielbienie paradoksu i pogarda dobra, piękna, wielkości wzniesie się po nad pewny poziom, musi nastąpić potop — potop najwstrętniejszego wylewu kałuży błotnistej, to jest zapanowanie nad społeczeństwem grubego materyjalizmu, pragnień zwierzęcych, przekonań niskich i nikczemnych. Aby uchronić od tego Francye, aby zagrozić choć jedną drogę wpływom rozkładającym, ludzie porywów szlachetnych postanowili przeciwstawić teatr moralny teatrowi niemoralnemu i to było powodem, to z kolei stało się celem stowarzyszenia obradującego w Paryżu dnia 2 maja. Zwracając się do technicznej niejako strony kwestyi, Féval nie sądzi, aby niższość lub wyższość samego talentu pisarzy dramatycznych mogła być przyczyną upadku dramatycznej sztuki francuzkiej.— „Autorowie francuzcy karmią sceny całego świata,“ powiada z pewną dumą i pewną słuszością, więc nie stopień werwy pisarskiej, ale natchnienie, które je wzbudza, jakość tego natchnienia, stanowi o rzeczy.— „Potrzeba Francyi natchnienia moralnego! woła — potrzeba przy wyższym czy niższym talencie piszących, *sztuki uczciwej!*“ *Sztuka uczciwa*, to sztuka nie psująca obyczajów, nie rumieniąca oblicza kobiety, nie budząca niesmaku w mężczyźnie podnioslejszego usposobienia. Féval wie aż nazbyt dobrze, że jak teatr może zniżyć, tak może i podnosić ducha; może budzić w piersiach ludzkich iskry zaanego zapału, dawać fantazyjny polot górny, a myśli i uczucia odrywać od powszedniej popolitości życia. Wie to, ale ograniczając

się na początek do najmniejszości, żąda jedynie *sztuki uczciwej*, nie fałszującej pojęć zdrowej moralności, nie odbierającej ogółowi smaku piękna czystego, nie uderzającej na to piękno i dobro cynicznym sarkazmem niewiary. Teatr moralny nie może i nie powinien wpuszczać na scenę swoją sztuki innej i żadne względy talentu nie tu zaważyć nie powinny na szali sądu tych, którzy mają w rękę kierunek sceny. Można by powiedziec surowo, że bez wyższego pojęcia piękna i dobra niema wyższego talentu, ale znać Féval nie chciał uderzyć gromem takiego wyroku w tych wszystkich dramaturgów francuzkich, którzy stoją dziś na czele literatury dramatycznej. „Le bien est naturellement dans l'art,“ powiedział jedynie i objaśnił publiczność, iż ma prawo żądać od pisarzy swoich twórczości na gruncie takim.— „Nakażcie im to — pouczą ową publiczność — zażądajcie tego od nich, proście, wzywajcie, aby z tym szacunkiem, jaki prawdziwy talent powinien mieć dla siebie samego, odpowiedzieli warunkom, które stawiacie. Nie będzie tu ani obrony, ani krepującego polotu nacisku, bo moralność jest tą rzeczą podniosłą, której żądanie nie upokarza, ani nie może zniżyć nikogo. Wszak niegdyś Racine odebrał wezwanie podobne i napisał *Atalie!*“

Gust ogółu nie jest nigdy tak niski i tak zepsuty, aby odtrącał rzeczy dobre i stanowczo łaknął albo fars nędznych, albo tych sztuk podejranych, gdzie niby stając w obronie moralności, rozpacza się szeregiem obrazów niemoralnych, scen brzydoty wstrętnej, które nie mogą wchodzić nigdy w dziedzinę sztuki. *Teatr moralny* powinien usuwać na zawsze ze sceny swoje takie szkaradne dyssekcye, taką wystawę ran i chorób ludzkości. Moralista, który chce je ściagać i smagać, innego pola szukać sobie na to powinien. Dramat nie może być ani sprawozdawczym katalogiem sądów kryminalnych, ani nawet traktatem pedagogicznym *en action*. Taki naprzykład wstętny Zyzio, który na naszym już teatrze okrada matkę słabą, z pewnością nie doda siły żadnej macierzyńskiej nicości, tylko przykrym obra-

zem moralnego spodlenia rzuci na pewne wyobrażenie cień brudzący, oswoi pewne umysły z pojęciem upadku takiego, a nienaturalne jego podniesienie się przy końcu nie nie naprawiając, ułatwia tylko rozgrzeszenie dla jego żyjących braci. Féval surowo broni przystępu do teatru moralnego wszystkim sztukom, które w interesie niby moralności czynią niemoralność treścią i głównym gruntem swoim.

Zwracając się z powodu *Orfeusza w piekle* do autorów, którzy poniewierają w parodii i szyderstwie wzniosłe piękno i przyuczają tłum, aby je lekceważył bezdusznie, Féval na tle legendy Orfeuszowskiej, którą nazywa piękną pięknoscią niemal chrześcijańską, snuje wątek szlachetnie pomyślanego dramatu. Z bogatego źródła można czerpać, byle nie brudząc je dłońmi i oto Orfeusz szukający w piekle Eurydyki, mógł się zjawić na scenie nowożytniej w przerodzonej postaci. Kobieta idzie często zamaż dzieckiem prawie, mąż zajęty po za domem albo pracą dla ust drogiej, albo wielkimi interesami Francji, zostawia ją, można powiedzieć, samotną wśród tego życia salonów, gdzie, jak wiemy, może kobietę spotkać tyle niebezpieczeństw, co w legendzie mitologicznej. Jest tam — mówi — hydra niewidzialna, mająca głów siedem: próżność, próżnowanie, nudy, kaprysy, czezość życia, któremu nie postawiono, nie ukazano raczej żadnego wyższego celu, i oto nowoczesna Eurydyka może nagle stać się ofiarą, umrzeć moralnie i zstąpić do piekieł, a biedny Orfeusz, wracając do domowego ogniska może się przekonać z boleścią, że jest samotnym, bo ukochana jego serca, towarzysza jego życia, nie istnieje na tym co on świecie — przebywa w piekle! Więc w tęsknocie serdecznej, w poczuciu obowiązku, bo religia i prawo oddało mu w opiekę duszę młodą, Orfeusz zstępuje z boleścią po schodach przybytku piekielnego i odnajduje zgubioną, wyprowadza na światło dzienne, za którym wzrok może się podnosić ku górze, ku przestworom błękitu jasnego — ku niebu! Jednym słowem Orfeusz zbawia Eurydykę od potęg ciemności i zraty, podnosząc ją do siebie, czyniąc ją godną siebie towarzyszką, uposażając w nowe przymioty i otwierając przed nią zadanie, które trzymałoby ją zdala od dróg Erebu. Piękne przetworzenie legendy — piękne, dobre, uczające nie tylko dla paryzkiego świata, nie tylko dla paryzkiego małżeństwa.

Po tym improwizowanym dramacie, który jak widzieliśmy był poświęcony głównie sprawie kobiety i rodziny Féval zwraca się na zakończenie wręcz do kobiety samej, wzywając ją do współdziałania w dziele, którego może być przeważną twórczynią. Niech tylko żadna kobieta zacna nie przekroczy progów *teatru niemoralnego*, a rzecz stanie się już rozstrzygniętą. Starsza czy młodsza niech nie rozbiiera się dla chwilowej rozrywki z tej godności czystej, która stanowi jej potęgę, jej siłę najwyższą kochanki, żony i matki; niech nie zaciera w sobie tej poezji uczucia, tej delikatności idealnej, która nazywa się kobiecością i nie idzie rumienić się w zawstydzonym poniżającym pod wzrokiem tysiąca oczu, a *teatr niemoralny* stanie się wkrótce niemożliwym. Napiętnowany, naznaczony cechą czarną opustoszeje zwolna, aż zawstydzony takim istnieniem ponizonym, musi zamknąć podwoje, z których aż nazbyt długo wylewały się na Francję wpływy demoralizujące, albo jawnego zepsucia, albo równie trujących słowach zwya do tego Francuzkę, a wezwania to godzi się powtórzyć w przekładzie na wszystkie języki świata, błagając kobietę, aby stanęła po stronie *sztuki uczciwej*.

A sztuki takiej potrzeba jest światu, potrzeba jest kobiecie i rodzinie. Féval próbownywa jej działanie do czary wody czystej, gdy zbliżona zostaje do ust spragnionych. Jednym z najpiękniejszych dzieł dobroczynności czasów ostatnich nazywa dzieło Anglika, dokonane dla ubogiej ludności Paryża, dzieło Ryszarda Wallace, który zasiał bronzowemi oazami kamienne pustynie paryża, rozrzucił wśród jego dzielnie przeludnionych fontanny wody czystej, zkaż czerpać może w każdej chwili zmęczony wyrobnik, kobieta, dziecko. Otóż — powiada — inteligencya nasza, duch nasz ma podobnie jak ciało pragnienia swoje i choć Paryżowi nie braknie fontann z których czerpać można dla zaspokojenia tej wyższej potrzeby organizmu naszego, nie każdy przecież wie gdzie szukać źródła czystego a więc kobieta klas

wyższych świadomsza rzeczy, podniesiona w umyśle wykształconym nad niewiadomość innych, niech będzie przewodniczką, która nie zawodzi. Jest wśród rzeszy ludowej dużo kobiet, dużo dziewcząt młodych, które pragnęłyby także pić ze słodkiej pokrzepiającej czary sztuki, poezji — niech ona zatem, jako dobra i wysoko szanowana siostra, pokaże im takie źródło, nad którym możnaby położyć napis: *Umysł i serce mogą się tu napawać bez szkody*.

NIEMIATA POLSKA W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Życie ziemiańskie i prace kobiet. — Prządki. — Piosenki, klechdy i powieści. — Dumy ludowe i pieśni.

Życie ziemiańskie dawało każdej więcej rozrywek a niżeli w mieście, bo i jakież był porządek każdego dnia, tygodnia i miesiąca w ciągu całego roku?

Pani domu wcześniej budząc się ze snu po porannej modlitwie, zajmowała się gospodarstwem, wychowaniem dziatwy, pracą w ogrodach jarzynnych i sadach owocowych, przyrządem z nabiału codziennego świeżego na stół masła i solonego na zapas zimowy, jak wyrobem serów, krup i kaszy, smażeniem powideł i konfitur, zaopatrywaniem hojnym *apteczki domowej*, w rozmaite nalewki i wódki przepędzane na alembiku, a do nich suchych owoców na przegrzykę; przygotowaniem wędlin i półgęsków.

Kiedy w owe czasy przy każdym dworze była *pasieka* w ogrodzie, a po lasach chów pszczoł dzikich szeroko rozwinięty, do zatrudnień pani domu należało przyrządzać *patokę* z podebranych ulów; mieć wosk oczyszczony do świec jarzących dla kościoła i na uroczystości rodzinne, sycić miód jako trunk, który wybornie zastępował zagraniczne wina. Dodajmy do tego chów drobiu i nierogacizny, owych głównych podstaw każdego gospodarstwa, a łatwo ocenimy, że chwili wolnej od godziny porannej, aż do wieczornej, nie pozostawało nigdy. Takie były prace w dniu powszednie: wcześniej szły do spoczynku, smaczny sen krzepił utrudzenie całodzienne, ażeby w następny dzień znów do zajęć zwykłych powracać na nowo.

Starsze córki ochotnie idąc w ślady swych matek, przyjmowały udział w każdej ich pracy; młodszych oczy nazwyczajy się wcześniej spoglądać na tak rozmaite zajęcia domowe i wyrabiały w sobie przekonanie, o potrzebie pracowitego życia, kiedy więcej podrosną.

Podwajały się trudy niewieściego grona, gdy nadchodziły święta *Bożego Narodzenia* i *Wigilia*, jeszcze większe na *Wielkanoc*, *Zielone świętki* i w dniu imienin ojca i matki.

Tak dzień za dniem składały się tygodnie, w których chwilą odetchnienia były niedziele i święta uroczyste. Najwięcej swobody dawała gruba jesień i zima. Tu już pani domu, wraz z drużyną niewieściech pomocniczek stałych, oddychały wolniej, używając owoców prac swoich z wiosną i przez całe lato podejmowanych. Z nabiałem tylko jedna pozostała praca, ale w sadach i ogrodach, pod nasecielką grubego śniegu, nie było co robić. Ze szpiżarni, piwni i *lamusów* szły zapasy gotowe, na dostatnie zastawy stołu, dla przyjęć miłych zawsze, chociażby najliczniejszych gości.

Teraz, gdy wiatr jesienny ze śniegiem zaczął gwizdać na dworze, a następnie mróz coraz silniejszy ścisnąć, wszystko chroniło się w izby i komnaty dworów ciepłych i oficy, gdzie ogień nieustanny na kominie jasnym płomieniem pocieszał, ogrzewał i rozweselał mieszkańców.

W długie wieczory zimowe *prządki* przy tym płomieniu zajmowały pierwsze miejsce, czy to w większej komnacie państwa, czy w czysto umiecionej izbie czeladnej, zasiadało do tej pracy grono

wiejskich dziewczeczek i dla skrócenia sobie nocnych godzin i uprzyjemnienia chwil pracy poświęconej, jedne śpiewały ulubione piosenki ludowe, drugie więcej *rezolutne* i wymowne, opowiadały cudowne powieści i stare *klechdy*.

Brzmi pełna rzewności melodia, na to hasło całe grono dziatwy *pańskiej*, najstarsze wiekiem i najmłodsze, spieszą do tego grona śpiewaczek, uczą się tych pieśni, do których głos swój nałamuują, aby je wiernie same powtórzyć mogły.

Cóż ich treść stanowiło? Nie co innego jak tylko uczucie *miłości*, tęsknota młodej dziewoi za oddalonym narzeczonym, radość z jego powrotu, albo żal bolesny nad konieczną rozłąką, lub rzewne łzy, gdy śmierć jedno z dwojga zabija i sieroctwem dotyka.

Przy powtarzaniu pieśni z obchodu weselnego, zaraz dodawane były opisy rozmaitych zwyczajów zachowywanych przy tym obrzędzie. Wyjazd panny młodej do kościoła, błogosławieństwo rodziców, powrót, uczta weselna, *oczepiny* i pochod do domu przysłego małżonka.

Przy radośnych jednakże stołach, nie zapomnieli lud w swojej pieśni o niedoli sierot; kiedy taka sierotka obchodziła swoje gody weselne, przypominała rzewna śpiewaczka stan jej godny liłości serc żywo czujących. *Kukulka*, on ptak poetyczny, godło smutku i żaloby, wysyłany jest na cmentarz, zapraszając ojca i matkę, żeby pobłogosławili swą osamotniałą córkę, która czeka na ich uścisk i słowo pociechy. *Kukulka* rozwija skrzydła, ulatuje na mogiłki, i wraca, przynosząc wieść bolesną od kościołka, że ani ojciec ani matka już nie przybędą.

Wszystkie te pieśni, które w ścianach dworu brzmiały, od dziewczeczek wiejskich przechodziły do córek i krewniaczek dziedziców; pieśń ludu obudzała pierwsze uczucia ich serca, ukazując woń prawdziwej poezji, w prostą szatę, ale pełną prawdy i rzewności przystrojoną. W młodziutkiej, jak z kwiatowego pączka rozwijającej się ich wyobraźni, stawały z tych pieśni wyrojone postacie kochanków, co z szabelką na wronym koniku na wójkę jadą, jak w smutku złote lejce rozpuszczają na jego grzywę, dumając o dalekiej swojej Kasi lub *Anulce*; to ścisające serca obrazy żałobne, jak ukochany *Jaś* leży zabity, a przy nim wierny towarzyszek, grzebie nogą i mową ludzką swój żal wygłasza. Tu, młode dziewczę opuszczone, siedząc nad strugą czystej wody, lub na wybrzeżu bystrej rzeki, rozczesuje swe *kosy* (warkocze), rzuca z nich sploty na bieżące wały, ażeby popłynęły do oddalonej matki i zawróżyły jej przysłą pomysłną *dole*. Dalej słuchają przy rzewnej melodii o losach pięknej *Anusi*, co dała się rycerzowi porwać z rodzicielskiego domu, jak otoczona gronem jego towarzyszków, jedzie na jego dzielnym rumaku, a przed niemi podlatując siwy *sokół*, jako godło wierności, znaczy drogę, jak upada przed bramą warownego zamku, dziedzicznym rycerza, w którym wszystko już przygotowane oczekuje na przybycie młodej a pięknej *pani*. Grono gości i wierni poddani otaczają Anusie, jako dostojną małżonkę dzielnego rycerza; czcią swą i poszanowaniem otaczają, a przy brzmieniu hucznej *kapeli*, gody weselne rozpoczyna *polski taniec*.

Ale nie często taka szczęśliwa dola dziewczęcia, co wiedzona gorącym uczuciem, potulna słodkim słowom zalotnika, daje się uwieść jego namowom! Oto w dumce ludowej rozwija się straszny, dla młodych serc i wyobrażeń dramat drugiej *Anulki*, którego słuchając drżą z przestachu, a potem nad jej smutnym losem rzewnie płaczą.

Z *cudzej Ukrainy* przyjechał młody i dorodny *paniczek*, i namówił Anulkę, aby od ojca i matki odciągnąć się dała. Ale był to zły człowiek, podmawiając jeszcze, żeby skrycie rodzicom z komory złoto i srebro wyniosła. Stało się jak pragnął; dziewczę powolne wykonało jego pragnienia, ale zaledwie posadził ją na wronym koniu i sakwy ładowne ze skarba rodziców przewiesił, z pochmurniał i słowa do niej nie wyrzekł. Przejechali jedno pole, drugie i dziesiąte, a gdy Anula przemówiła do swego Jasiuśka:

— Czy daleko twoja rodzina?

Odpowiada ponuro:

— Czy wiesz gdzie *Dunaj* siwieje? otoż tam czekają moi przyjaciele.

I przywędrowali nad szeroki i głęboki *Dunaj*,

a gdy stanęli na wysokim wyrzeżu, odezwał się strasznym głosem:

„Co wolisz Anulu, czy się do dom wrócić.
Czy oto z tej góry w ten Dunaj się rzucić?“

Biedne, strwożone dziewczątko, składa rączyny jak do modlitwy i błaga go o życie...

„Wzięłeś mnie Jasięku w zielonej sukience,
Puść-że mnie do domu w jednej koszulce.
Wzięłeś mnie Jasięku w czerwonym atłasie,
Puść-że mnie do domu choć w koszulce, — w pa-
[sie.“

Ale zbrodniarz nie odstępował swego zamiaru; dziewczę przysięga mu, że pójdzie po dworach służyć, a nie wróci do swego domu, ale głuchy na te słowa zsada ją z konia, ściąga z rąk złote pierścienie i rzuca ją w Dunaj głęboki. Bez litości, zakamieniały, patrząc na swą ofiarę słabą i omdlewającą ze strachu, z szyderstwem takie rzuca jej jeszcze pożegnanie:

„Gruntuj że Anulu ten *Dunaik* do dna.“
Stracona rzewnie przemawia:
„Jeszcze ja, Jasięku, tej śmierci nie godna,
Nad wszystko na świecie ja ciebie kochała,
Od ojca, od matki z tobą odjechała!...“

Bóg dobry przyniósł ratunek, o krzaki i zarośla nadrzeczne zawadził się jej fartuszek, zawieszona na nim, wyciąga rączki, woła głosem rozpacz:

„Ratuj mnie Jasięku za kochanie moje!“

— Dobył Jasio szabli i rozciął na troje.
Rybaczy zarzucili sieci i wyciągnęli martwe zwłoki biednej Anuli; nadbiegli, ale za późno, ojciec, matka i krewniacy. Dzwony kościelne uderzyły na jej pogrzeb, a we sto koni pognano za mordercę, schwytano go, i gdy piękne dziewczę składają rodzice do grobu z płaczem, uwodziciela wiodą do warownego więzienia.

Dumka kończy się moralną nauką:

„Przypatrzcie się panny i wy młode panie,
Jakie z hultajami dobre wędrowanie!“

Miłość dziewczęcia wiejskiego w pieśniach ludowych, maluje się nieograniczoną i pełną poświęcenia, to też w wypadkach tylko szczególnych znajduje bolesny zawód, jak w poprzedniej dumie widzieliśmy, gdy trafiła na człowieka, „co Boga w sercu nie miał“.

Najczęściej przecież pozyskiwała nie tylko wzajemność serdeczną, ale dawała i szczęśliwą dolę. Wierność, po wielu latach oczekiwania znajdował kochanek w swojej wybranej. Posłuchajmy, co nam mówi pieśń z Mazowsza.

Służył *Jaś* u pana za starszego dworzana, miał przyrzeczoną rękę nadobnej *Kasi*, którą ukochał i pozyskał jej serce. Na ślubny kobierzec było to dziewczę jeszcze za młode, gdy król na wojnę rozkazał. *Jaś* gotowy do wyprawy, pozostawia dziewczę u matki i błaga, ażeby ją chowała starannie do jego powrotu. Upłynął rok jeden i drugi, po nim piąty i szósty, aż *siódmy* nadchodzi. *Kasia* wyrosła na piękną pannę, tłum zalotników roi się w około, a między nimi staje *Starosta Mielżyński*, żądając jej ręki. Dziewczę, wierne przyrzeczeniu, nie chce o nim słyszeć, ale matka ją zmusza, ażeby przyjęła rękę tak wielkiego pana.

Wszystko przygotowano do wspaniałych zaręczyn we dworze jej rodzicielki. *Kasia* przeczuciem serca wiedziona, wysłała wierną służkę na gościniec, ażeby wypatrywała pilnie, czy nie wraca jej narzeczony, za którym przez lat siedem tak tęskniła. I nie zawiodła się w miłej nadziei:

„Jedzie Jasio uzbrojony,
A pod nim koniczek wrony.
Przyjechał na przeciw dwora:
Wyjrzej Kasiu! serce woła.“

Ale służba donosi Jasiowi, że właśnie w tej dobie *Kasia* ma zaślubić starostę *Mielżyńskiego*; zbolały zasmucony tą wiadomością, mówi:

„Podaj mi, służko, skrzypeczki,
Pojadę grać na wesele,
Dla nadobnej *Kasieczki*,
I szklanica się podzieli!
Stanę sobie w rogu stoła,
Niech zobaczy *Kasia* moja!
Skoro *Kasia* zobaczyła,
Przez trzy stoły przeskoczyła:
— „Ty *Jasięku!* ty mój pierwszy,
Ty starosto szukaj inszej.“

Pan *Mielżyński* rozgniewany zawołał na swą drużynę, ażeby porąbali, posiekali przybyłego zuchwalca, ale *Jasio* nieustraszony dobył także pałasza. *Kasia* wtedy, wśród zbrojnej dróżyny w środku stanawszy, wzięła narzeczonego oddawna za rękę i w te słowa przemówiła:

„Starosto! kłaniam tobie,
Bo ja biorę *Jasia* sobie!“

I pan starosta *Mielżyński*, choć drżący od gniewu, widząc tak stanowcze postanowienie *Kasi*, odjechał.

Nie zawsze powracający z wyprawy wojownik, znalazł tak pomyslną dolę i nagrodę swej wiernej miłości. Owóz pieśń z *Podlasia*, która przeciwny stawia nam obraz. Podaje ją w całości, bo żadne pióro lepiej jej prostoty i rzewności oddać nie zdoła.

„Służył *Jasio* u Pana,
Za wielkiego dworzana,
Wysłużył *Kasienkę*.
W siódmym roku dziewenkę.
Na wojaczkę pojechał,
W siódmym roku powracał,
W niedzielę, po *miedzie* (po miodzie),
Jasio do domu jedzie.
Wyjechał na drogę.
Złamał koniczek nogę!
— Ach! dla Boga! co się dzieje!
Mój koniczek bardzo mdleje;
Boleść serce rozdziera.
Czy *Kasienka* umiera?
Zajechał przed pokoje.
— Wyjźdź do mnie, serce moje!
Wyszło, wyszło siostrów sześć,
Prosiły go z konia zsiść.
— Już *Kasienka* nie żyje,
Mokra ziemia ją kryje,
Nad jej grobem kamienie.
— Żebym wiedział gdzie jej grób.
Pojechałbym widzi Bóg!
Trzy razy kościół objechał,
Zaczem na jej grób najechał.
Kleknął konik na grobie.
— *Kasiu* moja! *Kasienko!*
Przemów do mnie słówenko!

Głos z grobu.

Nie jeden ja *Jasiu* kwiat,
Jest-ci tego pełen świat,
Jest-ci tego nie tysiąc!

Jaś.

Tobiem jednej chciałem przysiądz!
Kasiu moja! *Kasienko!*
Przemów do mnie słówenko!

Głos z grobu.

Ledwiem Boga uprosiła,
Com te słówka przemówiła!

Jaś.

Zadzwoncie jej w wielki dzwon!
Mojej *Kasi* wieczny dom.
Zagrajcie jej organy,
Mojej *Kasi* kochanej!
Wyjechał na drogę,
Złamał koniczek nogę.
— Niech koniczek marnie ginie!
Kiedy *Kasienka* nie żyje!

Równie uczucia i w sercu dziewczęcia znajdowali narzeczeni:

„*Jaś* sierota, nie mając matki *rodzonej*, przybywa schorzały i pada pod zielonym jaworem, w pobliżu

domu ukochanej. Ta przybiega do niego, on błaga ażeby poszła do lasu i przyniosła mu jakie uzdrwiające ziółko *Ruczaju*. Biegnie więc do boru, ale z drogi ją zwracają, bo chorey już skonał.

Biedne dziewczątko chwyta się obu rękoma za głowę i w rozpacz woła:

„O mój *Jasiu!* klejnocie!
Chodziła ja we złości,
A teraz ja w żalobie,
Mój *Jasięku* po tobie!

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

— Słuchaj ty, babo — zawołał — my między sobą mamy rachunki. Ty mnie zdradzasz. Dwa razym cię złapał na rozmowie z tym młokosem, ty ich ostrzegasz, ty ich straszysz, ty...

— Tak, tak — głosem śmiałym poczęła *Agafia* — i jeśli będę mogła, to ich obronię, bo ci nie dam popełnić ani jednej zbrodni więcej i twoją szyję od szubienicy ocale, na którą zaślubiła.

Dorszak podbiegł ku niej, ona rękę włożyła za pas i dobyła nóż, który nosiła zawsze przy sobie.

— Nie dotykaj mnie! bo zabiję! — krzyknęła — zabiję i nie będę miała na sumieniu, bo lepiej byś nie żył, bo wolałabym cię widzieć i na marach, jak...

Dorszak blady z gniewu, podniósł cybuch, który znalazł pod ręką i zamierzył uderzyć ją po głowie, gdy *Agafia* odskoczyła, nóż trzymając ciągle w rękę.

— Myślisz że nie wiem gdzie był wczoraj? u *Szejtana*... u druha? myślisz, że nie zgaduje po co?

Dorszak cały drżał, ale walczył z sobą, nie chciał ani bójki w zamku przy obcych, ani do ostatka rozdrażniać żony. Jak człowiek, który nie ma na czem wyrzucić swej złości, cybuch potrząsał w kawałki i rzucił je w kąt, a sam upadł na poduszki, rwąc włosy na głowie. Usta jego rzucały stłumionymi przekleństwami, głowę opuścił, myślał długo i znać coś postanowił, bo nagle uspokoił się i podparł na łokciu, już jakby nie zważając na *Agafię*.

Ta popatrzała nań i wyszła.

Wkrótce potem zbiegł ze wschodów *Dorszak*. W dolnej sieni parę razy się przeszedł i *Horpyne* przechodzącą posłał po *Tatiane*.

Na wpół ze swych szat uroczystych rozebrana, zeszała na dół.

— Ta wilezyca mnie zabija — rzekł stłumionym głosem *Dorszak* — ta kobieta mnie zgubi, trzeba się ratować.

Kobieta, której rysy wyrażały głupawą obojętność zwierzęcą, jak wierny pies, spojrzała mu tylko w oczy i kiwnęła głową.

Dorszak odprowadził ją do kąta i gwałtownie, szybko szeptać zaczął. Zrazu kobieta kołysała głową, niepewną będąc co ma czynić, nareszcie, gdy począł nastawać, zdawali się godzić z sobą. Spuściła oczy ku ziemi i poszła powoli. Raz i drugi odwołał ją, dodając ciche jakies przestrogi.

Dorszak mimo deszczu wybiegł z domu na miasteczko.

W murowanym gmachu po wyjściu jego cicho było długo jak w grobie... potem słychać było otwierające się jedne i drugie drzwi i chód szybki i milezenie znowu.

Gdy *Dorszak* z miasteczka wrócił, czekała nań na wschodach *Tatiana*, blada i zamyślona, poszeptali coś z sobą. Czoło mu się rozjaśniło, śmiało wszedł

do izby. Agafi już tu nie było, nie było jej też w jej izbie, ani w żadnej na górze, a Horpyna, która nazajutrz o pania spytał Nikita, powiedziała mu że nie wie dokąd pojechała....

Jakoż na zamku jej od tej chwili niewidziano. Miecznikowej oświadczył Podstarości, że żona jego do chorego ojca nocą wyruszyć musiała i westchnął nad tem, że jej nie mógł towarzyszyć.

Dzień dżdżysty ku wieczorowi się nieco rozjaśniał, wiatr spędził resztę chmur z nieba—zielonawy lazur ukazał się na zachodzie, i ludzie na jutro obiecywali pogodę. Janasz rozpytał dokładnie Dorszaka, jakimi drogami miał oprowadzić Miecznikową, aby nazajutrz je przetrząść. Podstarości zrazu mu się ofiarował sam za przewodnika, potem, po namyśle niejaki, nie upierał się przy tem i rozpowiedział, że drogę, chciał dać konnego parobka. Janasz i tego nie przyjął.

— Powiesz mi pan jak mam jechać, myśmy ludzie wojskowi łatwo się na manowcach i w górach orientujemy... rzekł Janasz. Wstyd by nas było przewodników z sobą ciągnąć i na taką objazdkę....

Dorszak miał znać powody, dla których na tę wyprawę niekoniecznie się napraszał — zamilkł i nie nalegał. Posłyszawszy tylko że czterech ludzi się wybiera razem z Janaszem, rozśmiał się.

— Do zbytku — rzekł — wielka kawalkata, samowtór najwygodniej.

Nie było na to odpowiedzi.

Granie Gródeckich posiadłości z dawna były kamiennymi krzyżami oznaczone na rubieżach, na dębach też były znaki, a zewsząd wodociecze same i strumieni łożyska stanowiły szlak łatwy do poznania. Janasz i Nikita, nie spuszczać się na opowiadanie Dorszaka, w mieście dostali języka i nazajutrz do dnia, korzystając z pięknego ranka ruszyli.

Oprócz Nikity, wziął dwóch hajduków Janasz, a pozostałym pilną straż polecił na zamku. Spuszczali się od bramy ku mostowi, gdy ich tu Dorszak, ranniejzy od nich ptak, spotkał, już powracając z miasteczka.

— No! szczęśliwej drogi! — rzekł szydersko, abyście tylko przed nocą byli z powrotem, bo szmat jest do obejrzenia okolicy.

Janasz jechał nie nie odpowiadając. Zaraz miasteczko pominawszy, wzięli się w góry i wjechali w wąwozy, które do granicy dostać się mieli.... Ranek był ciepły i niemal wiosenny, słońce na niebie bez chmur wyiskrzono wesoło. Nikita obeznany przez ludzi miejscowych z okolicą, prowadził.... Lecz, zaledwie wjechali w cienisty parów, nad którym zwisały się drzewa i gałęzie poplątane... Janasz się rozpytuje o różne szczegóły zagadał z Nikitą, hajducy dopomogli do rozmowy i ani się spostrzegli, jak zamiast w lewo parowem, pojechali nim wprost... przed siebie.

Nie pomału się też zdziwili, gdy po przeszło godzinie drogi, gdzie mieli trafić na polany i stare szopy, a potem na mogiły, nie znaleźli ani jednych ni drugich, i miasto tego kręty wodowyj, coraz węższy zaprowadził ich w gąszcze, kędy się już niemal bez śladu drogi przeciskać było potrzeba.

I Janasz i Nikita poznali błąd, a nawracać się im nie chciało. W śmiech to puscili. Młodemu chłopkowi tak było rażno na koniu, w lesie, na wolnym powietrzu, w tej pustyni, że się wcale za obłęd nie gniewał. Towarzysze też śmieli się z przygody.

Godzina druga upłynęła. Drapali się ku górze, potem jechali grzbietami, aż wreszcie poczęli się spuszczać ku dołowi przeciwnym temu stokiem, którym w tę dziką przybyli okolicę.

Krzaki zaczęły rzednąć, a za gałęzi przeglądał jakby step. Nikita poparł konia przodem, drudzy za nim, lecz o kilkanaście kroków stanął, w milczeniu nawołując ręką swoich.

Czując już że się cicho zachować należało, Janasz i dwaj hajducy, przecisnęli się przez krzaki ostatnie nad urwiskiem — i stanęli.

Przed nimi była szeroka dolina, ale tak samo jak Grodecka wzgórzami, po większej części zarostem otoczona.... W drugim jej końcu.... pasł się tabun koni.... Kurzyły się ogniska i widać było parę stożkowatych namiotów.

Nikita nie wielki bywalec, nie mógł dobrze zrozumieć co miało znaczyć to obozowisko. Janaszowi

dosyć było spiąwszy się nieco na strzemiona spojrzeć, ażeby poznać Tatarów. Niewidać ich tam było, ale namioty i konie zdradzały. W milczeniu, cofnawszy się nieco w zarosła patrzyli tak zdumieni, gdy Janasz dał znak do odwrotu, i natychmiast znowu schowali się w gęstwinię.

Zdala dolatywało ich rzenie koni, lękali się, aby własne ich nie odpowiedziały tamtych, eoby było zdradziło. A choć w gąszczy ukryć się i uciec mogli od pogoni, Janasz wołał nie być postrzeżonym.

Nie mówiąc słowa, odjechali napowrót kawał drogi, nim skupiwszy się, znowu rozmawiać zaczęli.

— Tatarzy — nieochybnie — rzekł Janasz, jam się już z nimi widywałem, a dużom słyszał o nich. Miarując z liczby koni, nie wiele ich tam być musi, bo zawsze we czwórność tyle u nich stadniny co ludzi — a no, zawsze we czterech, choćby na czterdziestu naskoczył, nie zdrowo....

— Musieliśmy się odbić dużo od naszej granicy — dodał Nikita, trzeba już tą samą drogą, po własnych śladach powracać, a drugi raz przewodnikiem nie gardzić.

Na Janaszku nie uczyniło to tak wielkiego wrażenia, przyrzekł sobie tylko Miecznikowej nie puścić. Zdawało się, że rychło powinni do Gródka powrócić, lecz konie w lesie popaść musieli, a potem drogi szukać i ledwie pod wieczór, wyjechawszy z wąwozów, ujrzeli zameczek przed sobą. Wstyd było trochę Kórczakowi, że tak jak z niczem powracał, przecież starczyło za skutek, że do Tatarów dotarli.

Słońce zachodziło, gdy do mostu zamkowego się zbliżyli. Tu stał Dorszak jakby oczekujący na nich. Janasz z konia zsiadł.

— Czołem.

— Czołem.

— A kędyż to pan bywał? jeżeli się zapytać wolno? — urągliwie zapytał Dorszak.

— Wstyd mi powiedzieć, ale kłamać nie lubię — rzekł Janasz, ani wiem kędym był.

Podstarości śmiać się począł.

— Ja o to wiem, że się z Tatarami spotkał.

Dorszak minę zrobił zdziwioną i osobliwszą.

— Gdybyś się pan miłościwy z nimi spotkał — rzekł — tobyś tu na wieczór nie był.

— Jeśli chcesz prawdy szczerzej, nie przyszło do spotkania, aleśmy obóz, konie i namioty doskonale widzieli.

— Gdzie? — marszcząc się spytał Dorszak — to imaginacya.

— Nie — czterech nas jest — pytajże waszmość.

— Gdzie? u nas? po nad granicą Tatarzy? to nie może być!

Wszyscy razem gwarnie i wyprzedzając się zaczęli mu potwierdzać. Dorszak się marszczył coraz bardziej.

— Bajka! jako żywo! to nie był obóz tatarski. Śniło się waszmościom! U stracha wielkie oczy. To była nasza straż pograniczna.

Janasz zakrzyknął.

— Tak jest — powtórzył Podstarości, ja się waszmościom klnę, że to byli nasi. A że oni po tatarsku obozują, to prawda, i że obyczajem tutejsze przejęli — to też pewna. Niech pan z siebie śmiechu nie robi — rzekł zwracając się do Janasza — mówiąc o Tatarach.

Kórczak zmilkł.

— Gdybym był mógł to przewidzieć, odezwał się, bylibyśmy podjechali.

— Ale dokądże pan zabnąłeś? tamtędy nie waza była droga.

— To prawda — odezwał się Janasz.

Pewność, z jaką to mówił Dorszak, oddalenie obozu, który zaledwie zdala dostrzedz mogli, pomimo niewielkiej ufności w Podstarościęgo słowa, wpłynęły na to, że uwierzył mu i zamilkł Janasz.

Bolał go dzień stracony.

— Jutro ja z wami pojedę — dorzucił Dorszak, przekonanie się jakeście dziś błądzili.

Ze spuszczoną głową powrócił Janasz do wieży, szukając zdala Jadzi, która pono — może z nudów w tej samotności — wyglądała go także oddawna. — Spotkali się na górze w sali, gdzie pod czas Miecznikowej nie było. Jadzia podbiegła aż do progu podając rękę staremu przyjacielowi.

— Cóż to wam? jakby z polowania gdy zająć z przed chartów uciec. Widzę na czole chmury.

— Wstyd, panno Miecznikówno — porwałem się

wędrować po nieznanym kraju, i... zmęczyliśmy się, konie, a — postrzelili baka.

— No? cóż się stało, świetny rycerzu? śmiejąc się szebiotała Jadzia — mów, a prędko, wiesz jak jestem ciekawa?

— Zabłądziłem — począł Kórczak.... Jeździliśmy cały dzień, e! już i przyznać się nie chcę.

— A! a! przedemną? jakto? przedemną? wszak my dla siebie nie mamy tajemnic?

— A ja nie wiem? — zaśmiał się Janasz — co ja — to pewno — ale panna Jadwiga.

Jadzia się mocno zarumieniła.

— A to pięknie! pan mnie nie wierzysz! to kwita z przyjaźni, kiedy tak.

Janasz ręce złożył. — Wierze!

— Mówże jak na spowiedzi — ja nie wydam.

— Wie pani co się stało? — błądziliśmy cały Boży dzień. — Najechaliśmy zdala na jakieś obozowisko, przysięgłbym, że tatarskie.

— Jezu! Marya! — krzyknęła Jadzia składając ręce i błędąc.

— Ale Dorszak się śmieje i ręczy i przysięga, że to nasza była straż pograniczna, która tak po tatarsku obozować zwykła.

— E! Dorszak! — odrzekło dziewczę — opisz mi pan jam taka ciekawa.

Janasz z największemi szczegółami począł opowiadać całą wyprawę, i jak im się wydało obozowisko, konie i namioty.

— Ponieważem się, jak się zdaje, omylił — odezwał się w końcu — niech panna Jadwiga nie już o tem, nie wspomina. Jutro jedziemy już z Dorszakiem.

Jadzia zamyśliła się, westchnęła.

— A my? kiedyż pojedziemy?

— Droga panno Miecznikówno — przerwał Janasz, nie napierajcie się zbytecznie. Kto wie co się w tych górach i okolicy kryje? Nim pani Miecznikowa wyjechać będzie mogła, pozwólcie mi dobrze spłądować kraj ten do koła. Na Dorszaka spuszczać się nie można.

— Pan wiesz, przerwała Jadzia — żonę swoją nocą niewiem dokąd wyprawił — niema jej na zamku.

— Straże całą noc stoją, nikt nie wyjeżdżał.

— Ale jej niema.

— Dziwna rzecz! — odparł Janasz.

Miecznikowa wyszedłszy nie wiele się dowiedziała od Kórczaka. Unikał on sam dłuższej rozmowy, i wyszedł zaraz. Na dole czekał na niego Nikita.

— Panezku, Dorszak kłamie — szepnął mu — to byli Tatarzy! Pytałem ludzi, ale dla czego on kryje to? na co jemu potrzeba, żebyśmy my o Tatarach nie wiedzieli, niechno pan wymiarkuje! to zły człowiek.

— Cicho! do jutra jutro nasz czterech, on jeden, zobaczymy... musi się to wyjaśnić.

— E! mruknął Nikita — co to długo myśleć i mówić — to jawny zdrajca, jabym go w kij związał zaraz... a inaczejby się wszystko wyjaśniło. Póki on nas tumanić będzie, nigdy się prawdy nie dowiemy.

Kórczak dał mu znak, aby milczał — i na tem się skończyło.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOLONISTA W IRLANDYI

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Pawła Heise

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

AKT V.

Scena I.

Las nad brzegiem rzeki. Ciemny, wietrzny wieczór. Porucznik angielski z kilku żołnierzami postępuje

*ostrożnie drogą wzdłuż wybrzeża. Wyrostek w ubra-
niu kolonisty służy za przewodnika.*

KOLONISTA (*zatrzymując się*)

Tu panie poruczniku, tu gdzieś w zaroślach jest jego kryjówka. Widziałem tu już dwa razy ją, to jest Hannę, córkę Jakuba Bodenmessa, która z nim uciekła od rodziców. Aż strach pomyśleć, aby taka ucziwa dziewczyna uciekła ze zbrojem, ze zbrojeckim wodzem! Ale tak jest, uciekła.... Widziałem ją raz wczoraj: przyklekła za tym krzakiem i chusty prała. Prała je z krwi i aż mnie mrowie przeszło.... Chciałem zawołać: — Al jesteś teraz zbrojecka żona i mężowskie koszule z krwi płuczesz!.... ale zanie- miałem, tak była blada i chuda jak śmierć sama! Zerwała się zrazu i chciała uciekać, ale pozna- ła mnie i przysiadła znowu na ziemi. — Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony — rzekła mi zeicha, a po- tem dodała — Dzień dobry Gottlieb!... Odpowie- działem jej: — Dzień dobry.... i stanąłem przy krza- ku. Ona siedziała i patrzyła to na mnie, to w wo- dę.... Rzekłem jej po chwili: — A czy nie wrócisz do nas Hanno — do nas, do rodziców? ale ona potrzą- snęła głową. — Nie — rzekła — nie wrócę już nigdy.... Nie zobaczę już nigdy ani ojca, ani matki.... Schy- liła się nad wodą i prać zaczęła, a łzy kapały w rzekę.

PORUCZNIK

Było to wczoraj?

KOLONISTA

Tak, wczoraj w samo południe. Wszyscy ludzie są wtedy w domu i ona też wyszła z lasu do rzeki.

PORUCZNIK

Ale o nim nie nie wiesz.... Jego może już niema?

KOLONISTA

O jest, jest, skoro jest ona.... Uciekła dla niego od rodziców i jakżeby go teraz rzucić miała, choć to rozbójnik i herszt ich najgorszy, którego niech pan porucznik zaraz w dyby weźmie, albo lepiej tu na gałęzi powiesi, aby wszystkie irlandzkie zbroje wi- działy, jak w powietrzu nogami tańcuje. To on za- strzelił mego bratanka, Adama Schweitzera, i dla tego prowadzę tu pana porucznika, aby go powiesił, albo w kajdany zakuł. Chciałbym, żeby wywiesza- li, wystrzelali wszystkich irlandzkich zbrojów, ale tego najpierwej.... Taka ucziwa dziewczyna do la- su za nim poszła, że chyba jej co zadał.... Niech go pan porucznik powiesi, bo to on wszystkich Schweit- rerów wygubił....

PORUCZNIK (*surowo*)

Gdzieś widział tę kobietę raz drugi? Kiedy?

KOLONISTA.

Dzisiaj raniusieńko, na polance za tamtymi olchami: zbierała jakieś ziele.... Szedłem z ciekawości, czy jej gdzie nie zobaczę i akurat zobaczyłem. Rwała drobne listki, ale ledwom gałęziami ruszył, uciekła, zniknęła jak w lisiej jamie. Może z głodu wyszła lebiody szukać, i byłbym jej dał chleba z serem, który w torbie miałem, ale przepadła gdzieś zaraz za kamieniem, czy wedle pnia dębowego, jakby mi się tylko w oczach zmieniło. Ale ja pana poruczni- ka tam doprowadzę (postępując nieco dalej ku rze- ce, gdzie brzeg tworzy wyniosły przylądek). Al wi- dzi pan porucznik! i on jest! jest! jest pewno... Łódź już jest na wodę zholowana i tylko ją między wikli- nę schowali.... Pewno ma już dzisiejszej nocy ucie- kać.... Ale go ztąd nie weźmiemy, bo nas zaraz na brzegu zobaczy: gdy z jamy swej wyjdzie, lecz ja pana porucznika kołem oprowadzę i zajdziemy mu z tyłu. Wiem z pewnością, że wyjdzie gdzieś od tamtego kamienia, od pnia dębowego. Ja pan po- rucznik wolno puści, tylko jego psią wiare.... (Od- chodzą w las na prawo, postępując za kolonistą. Upływa chwila, w czasie której wiatr rozpedza chmury i rozpogadza niebo. Z lewej strony zarośli wchodzi James Hennessey i Hanna. Hennessey ma jedną nogę bez obuwia i tylko owiazaną szmatami).

JAMES

Ha! żga i piecze jakby ogniem parzył... (przystaje).

HANNA

Siądź trochę na tym pieńku, odpocznij. Teraz już ciemna noc i nikt nas nie zobaczy.... ludzie śpią albo w domu spokojnie siedzą. Może ci ranę obmyć i przywinać świeżego ziela? W łodzi będzie ci co- raz lżej i od wody chłodniej się zrobi. Słońce w dzień bardzo piekło a tyś do matki tak daleko chodzić musiał....

JAMES (*ponuro*)

Chciałbym już nigdy nigdzie nie chodzić... chciał- bym....

HANNA (*smutno*)

O Dżemsiel! tobie jeszcze lepiej na świecie, niż mnie nieszczęśliwej.... Stara matka, mówi ci: synu! i pacierz za ciebie mówi. Zabierasz ją z sobą i ni- kogo tu nie zostawisz, coby płakał i narzekał na ciebie....

JAMES (*z rozpaczą*)

A tę drugą, tę najpierwszą matkę moją — Irlandkę... czy też zabiorę? Ta noga nędzna wie dlaczego boli! Kole mnie i pali, bo ostatni raz po irlandzkiej ziemi stąpa.... Słyszysz? słyszysz? ostatni raz....

HANNA

O najdroższy, myśmy już dawno być tu nie po- winni. Dzień i noc błagam Boga, aby się raz ztąd wydostać, uciec choćby na kraj świata, gdzieby człowiek raz głowę do snu spokojnie położył, i nie drżał jak polotka za każdym liściem co się ruszy.... (James nie odpowiada i siedzi ponuro zamyślony, Hanna wychodzi ku brzegowi na przylądek i patrzy w kierunku drogi na prawo. Po chwili zawraca się nagle).

HANNA

O Dżemsiel! zobaczyłam ztamtąd światło!.... Wi- dać wieś, widać dom ojcowski i drzewa koło domu, dym z komin!... Jeszcze nie śpią, jeszcze się u nich świeci....

JAMES (*z goryczą*)

I dobrze im, spokojnie, wygodnie. Mają stary dach nad głową, mają angielskie prawa, angielskich żołnierzy do obrony. Nie masz ich czego żałować: na niezem im nie zbywa, niczego im nie zbraknie....

HANNA (*z żalem*)

Prócz dziecka, które ich opuściło.... Jedno mieli i opuściło ich.... O Dżemsiel! Dżemsiel (zakrywa oczy).

JAMES (*pasępnie*)

Nie płacz! Nie nad nimi powinno się płakać w Irlandyi.

HANNA (*łkając*)

Ach!

JAMES (*surowo*)

Nie płacz! powiadam ci.... Ja nie płaczę, choć w Irlandyi jest dość rodziców nietylko bez dzieci, ale bez domu, bez chleba....

HANNA (*łkając coraz mocniej*)

Ach, Dżemsiel....

JAMES (*łagodniej*)

Nie płacz....

HANNA (*z wybuchem*)

Nie mogę tak ztąd odejść na zawszel... Nie mo- gę tak odejść nie padłszy im raz do nóg, nie wyże- brawszy przebaczenia.

JAMES (*zrywając się*)

Nie możesz! Więc cóż?...

HANNA

Pójdę, padnę w progu na kolana i zawołam, aby przebaczyli dziecku swemu jego winę ciężką, aby położyli mi na głowie ręce błogosławiące.

JAMES (*gwałtownie*)

Al pójdiesz błagać przebaczenia za miłość dla irlandzkiego zbroja, pójdiesz skarżyć się, opowia- dać coś z nim wycierpiała: ile dni byłaś głodna, ile nocy spałaś pod gołym niebem! Dobrze.... do- brze.... zrób tak, bo ten twój uwodziciel jeszcze nęd- znniejszy jest dziś, jak był wczoraj.... Wczoraj miał jeszcze jamę swoją, jak zwierzę leśny, dziś braknie mu rodzinnej ziemi pod nogami.... A kulawy, stra- szny, zeszecony.... Wróć więc do rodziców, wy- przej go się, wyprysiaż.... Błagaj litości, proś mi- łosierdzia: niech cię przyjmą do łaski i chleba swo- jego....

HANNA

O! przeżyłam wiele strasznych rzeczy, ale teraz wybiła godzina najokrutniejsza.... (Po chwili mi- lenczenia) A mimo to pójdę.... Nie cofnę się przed niezem i pójdę, bo nie miałabym już pokoju ani na tym, ani na tamtym świecie.... Dżemsiel, niech ci Bóg daruje słów twoje; jestem, i do ostatniej go- dziny życia mego zostanę ci, wierną żoną, choć ślubowałam nie w moim kościele, choć nam wią- zał ręce ksiądz nie mojej wiary, nie opuszczę cię aż do śmierci. Ale teraz kiedy puszczałam się z tobą w strony nieznane, pójdę do ojca mego, do matki mojej i padnę im do nóg błagając, aby mi odpuścili, żem ich opuściła na starość, żem się odwróciła nie- szczęśliwa od ich głów siwych. Pójdę Dżemsiel.... Ja, małżonka twoja, pójdę tego dokonać, a gdybyś ty za to opuścił mnie i nie czekał tu za mną, trup martwy będzie płynął za łodzią twoją, dusza poku- tująca będzie szła za tobą przez morze, wołając: Dżemsiel! Dżemsiel! czemużes odtracił od siebie żonę twoją, która cię przeniosła nad wszystko na świecie! (Wyciąga ku niemu ręce).

JAMES (*chwytając ją w objęcia*)

Hanno! ty najśłodsza! najmiłsza! ty najkochańsza moja, nie szarp mi serca słowami takimi. Wiem żeś wierna, żeś dobra jak sam Bóg w niebie, jak Najświętsza Panna między aniołami, ale ty jesteś skarb mój ostatni i boję się o niego.... Idź, idź gdzie chcesz, tylko niech i ja pójdę z tobą, aby cię nie zatrzymali, nie zabrali, nie wydarli mnie nędz- nemu.

HANNA (*żywo*)

Nie! ty nie pójdiesz zemną, ty się nie ruszysz ani na krok dalej, jak te zarośla nad wodą.... Wróć tu prędko, wróć w okamgnieniu — za godzinę.... Pół godziny będę biedz, co mi tehu starczy, pół godziny będę klęczeć i całować nogi najdroższe, stare, drzą- ce nogi.... Ale potem nikt mnie nie wstrzyma, o nikt! Powiem: jestem żona!.... i niema już mocy takiej na ziemi i w niebie, któryby przeciwko temu co mogła. Mój ojciec wie co to jest prawo boskie, matka moja szanowała je zawsze i nie każe go ła- mać dziecku swojemu....

Scena II.

(*Obszerna świetlica w domu Jakuba Bodenmessa, dwoje drzwi po bokach, w głębi trzecie, sztachetowe drzwi do ogrodu, które wchodzi Elżbieta i zamyka je za sobą.*)

ELŻBIETA

Co za wiatr! co za wiatr ogromny.... W dzień był upał taki, a teraz pewno będzie burza, ulewa.... O Panie! miej litość nad temi, którzy zostają bez da- chu i uchrony, którzy błądzą i daleko są od domu swego. (Siada przy kółku, którego jednak nie ru- sza) Ostatek gruszek w ogrodzie obleci, winogro- na na ziemi leżeć będą, a Jakub obaczywszy to ju

tro zmartwi się i odejdzie w pole milczący.... (Jakub wchodzi drzwiami z lewego boku).

JAKUB

Dobry wieczór Lizbet.... (Zdejmuje surdut i wieszka wraz z kapeluszem).

ELŻBIETA

Gdzie byłś mężu? U wójta?....

JAKUB

Tak, byłem u wójta.... Miałem tam interesa.... To moja rzecz. (Siada przy stole, poprawia światło i wzięwszy Biblię, czyta).

ELŻBIETA (po chwili)

Mężu!

JAKUB

Co cheesz, matko?

ELŻBIETA

Czytaj słowo Boże głośno.... Tak ciężko jest wytrzymać w milczeniu, gdy dwoje siedzi wedle siebie w cichości i żadne nie przemówi nie do drugiego, choć oboje myślą o jednej rzeczy.

JAKUB

Nie wiele ja już wyczytam matko, światło, to jest mdłe, a oczy moje stare. Ale na początku samym spotkałem słowo takie: — „Błogosławieni, którzy ponoszą utrapienia....“

ELŻBIETA

— „Albowiem pocieszeni będą!...“ Ach mężu mój! ty masz mocniejsze serce w piersi, ale ja nieszczęśliwa! Jutro, jutro rano będzie trzy miesiące....

JAKUB

Jak obudziwszy się, nie znalazłaś dziecka swego... Nie oddawaj się takim myślom kobieto.... Złe jest rozpamiętywać boleści swoje i dopuszczenia ręki Pańskiej.... Mówią iż źle jest sercu, gdy z oczu łzy popłyną, ale łzy są sprzeciwianiem się woli Bożej.... Nie rozumiemy jej matko, w doczesności naszej i dla tego duchy ludzkie są odporne....

ELŻBIETA

Ach! mężu.... A jednak i serce twoje pełne jest żałości.... Słyszysz jak wzdychasz wśród nocy bezsennych, albo się zrywasz w marzeniach okrutnych.

JAKUB

Bo ciało jest mdłe i mieszka w niem słabość krwi niespokojnej. Ale mówię cierpieniu mojemu: milcz!... a oczom moim nakazuję patrzeć ku górze....

ELŻBIETA

Gdybym tak jak ty mężu, szła do roboty w pole otwarte, możebym mogła czasem zapomnieć, ale gdzież ja pójdę nieszczęśliwa, aby nie poszedł zamną żal mój gorzki? Czy do ogrodu, któryśmy we dwie siały na wiosnę, czy do którego alkierza, do której komory?

JAKUB (łagodnie)

Masz, matko, przyjaciółki dawne, masz sąsiadki z lat młodych.

ELŻBIETA

Ach! Najwięcej się lękam oczu ludzkich, najokrutniej się boję głosu ludzkiego. Każdy kto mnie spotka, pyta mnie z uzaleniem: — Czy nic nie słychać? Czy nie ma wieści żadnej?... Ja staję i serce krwią mi się zalewa. A przytem gdy widzę matki i dzieci.... dziewczęta.... gdy Molly Weber przyjdzie i całuje mnie w rękę....

JAKUB

Wszystko to matko przejdzie: przecierpi się, prze-

boli i zatrze w pamięci ludzkiej, aż stanie się cicho, jak gdyby trawa rosła na grobie.... Przyjdą lepsze czasy: odkąd lord Cornwallis pobił Francuzów nad morzem i zburzył zbójckie gniazda w górach, ludzie zaczynają dźwigać głowy do góry. Parlament o nas pamięta i dość wojska stoi w okolicy, ale głównie jest nad nami wysoko Ojciec Niebieski....

ELŻBIETA

Ach! Nie mamy jednak dziecka naszego i tęskni za niem serce moje....

JAKUB (poważnie)

Cicho, matko.... Miałas córkę, którą urodziłaś, ale jej nie masz.... Sieliśmy ziarno miłości naszej na skale, i opuszczona jest starość nasza. Jesteśmy ludzie bezdzietni, jako drzewo, które nie wydało owocu....

ELŻBIETA

Ach, mężu, nie wymawiaj słowa takiego....

JAKUB (zacięcie)

Jesteśmy ludzie bezdzietni.... nie mamy dziecka żadnego!....

ELŻBIETA

Mężu! mężu mój! czyliżby rodzicielskie serca nie miały tyle miłosierdzia, ile go Bóg ma dla grzesznika! Ona nieszczęsna może jest w nędzy i poniżeniu! Uwodziciel może ją porzucił i wypędził ze zbójckiej jaskini swojej? Może tuła się tu gdzie w pobliżu, pomiatana od wichru jak liść osinowy. Może usta jej pragną kropli wody, łakną kęsa chleba.... (Zaczyna płakać).

JAKUB (surowo)

Kobieto! Pan siedzi na stolicy swojej, aby sądził... Jeżeli jest tak jak mówisz, serce twoje cieszyć się powinno, bo grzech odnosi karę i pokuta oczyszcza co zostało splamionem i poniżyło się w kale namiętności bezbożnej. Czyż chwala i wesele ma być żniwem z ziarna krnąbrności, z siewu niebłogosławieństwa Bożego? Wzdycham wśród nocy, powiadasz, wiedz tedy iż się modlę o to, aby Pan przyzwał kiedy do siebie duszę grzesznicę nieszczęśliwej, ale ja matko, nie mam już zgoła dziecka.... Umarła córka nasza i gorzej niżby umarła i pogrzebiona została w ziemi świętej.... Nie mam dziecka.... (Pukanie do drzwi z lewej strony).

ELŻBIETA (przestraszona)

Ach! mężu mój!

JAKUB

Dlaczego tak drżysz? Ktoś puka i otwórz mu. Jeżeli to jest żebrak lub podróżny, nie pytaj go żkąd przychodzi, ani jakim sposobem chwali Boga? Będzie burza tej nocy i daj mu nocleg pod dachem naszym.

(Dokończenie nastąpi).

ZAKOPANE.

Każda zapewne z czytelniczek naszych wie, że Zakopane jest to wieś podtatrzńska, położona nad Czarnym Dunajcem, która w pięknej, malowniczej dolinie, ciągnie się wzdłuż kamienistej drogi na kilka wiorst długości; tam ludzie spragnieni spokoju, ciszy i czystego gór powietrza spieszą na letni odpoczynek. Ze przeciwieństw tych warunków trzeba nam jeszcze czegoś więcej, aby żyć, a troski różnych drobnych kłopotów o to życie mogą nam, pieczołochom cywilizacji, popsuć najrozkoszniejsze używanie piękna natury, więc dla użytku czytelniczek naszych, któreby ta uroczą okolica Galicyi

znęcić mogła, piszę kilka słów o praktycznej stronie pobytu w Zakopanem. Już to czas przyjemnego tam przebywania jest dość ograniczony, bo zaczyna się najwcześniej od 1 lipca a trwa do końca sierpnia, i przez te dwa miesiące jedynie Karpaty ożywają się licznym jak obecnie napływem turystów i gości. Wcześniej pobyt w Zakopanem może być dla osób delikatnych lub osłabionych niebezpiecznym nawet z powodu chłodu i ostrego powietrza, które łagodnieje dopiero z pierwszymi dniami lipca. Każdy, nie chcący poprzestać na pierwotnym posłaniu naszych prapraojców, niech zabiera z sobą jaką taką pościel, bo w Zakopanem nie nad siano dostać nie można i o siennikach nawet mowy niema. Do Krakowa zawieść to wszystko łatwo, bo kolej żelazna największe pakunki przyjmuje, lecz dalej staje się ważnym pytanie jak do Zakopanego dostać się można? Wprawdzie jest szosa, idzie nawet karetka pocztowa, aż do Nowego Targu, niemniej droga do Zakopanego należy do najtrudniejszych, stosunkowo długich i mozolnych wycieczek. Pomimo największych starań inżynierskich, żadna niwelacja drogi miejsca tu mieć nie może; jedzie się więc od samego Krakowa ciągle pod górę mil piętnaście, droga w ślimaka się kręci i to tak, że jadąc widzisz zawsze coś przejechał, i dokąd jedziesz. Do samego Nowego Targu, miasteczka, które o 3 mile od Zakopanego leży, idzie szosa skalista i stroma, prawie ciągle brzegiem przepaści prowadząca, a tak uciążliwa, że góral woźnica, dla ulżenia koniom, idzie prawie ciągle pieszo, idzie na piętach, wdrapując się dlatego łatwo pod górę, że obuty jest w kurpie ze skóry i łyka, które sam sobie wyrabia i łykiem bardzo zręcznie na nogach zasznurowywa. Góral tak zaopatrzony, jest przewodnikiem twym i woźnicą, jeżeli z Krakowa najętym tam od niego wózkim wyruszyłeś. Można przecieżjechać karetką pocztową do Nowego Targu, ztamtąd dopiero wózkim góralskim, i są to dwa jedyne sposoby dostania się do Zakopanego. Kto przecież nie chce ulegać podwójnemu przepakowywaniu rzeczy i woli się w Krakowie zabezpieczyć, znajdzie zawsze wózek taki na Kleparzu, gdzie targ zbożowy włościan zgromadza. Wózki góralskie są to w miniaturze nasze ogromne bryki żydowskie z budą płócienną i okienkiem w płótnie, tam usłane ci zostanie wysokie siedzenie z siana derką okrytego. W głębi zaś za siedzeniem nad kołami umieszcza się kufry i wszelkie pakunki podrózne. Przy wyjeździe z miasta jesteś jakby w stogu siana, którego w miarę posuwania się w dalszą drogę, coraz ubywa, jest to bowiem pasza wiozących cię koni. Za taki wózek, lub raczej domek płócienny płaci się góralowi od 12 do 15 guldenów; że przecież może się tu pomieścić 4 osoby, jeżeli więc rodzina jest tyle liczną, taniej to wypada, niżeli karetką po pięć reńskich od osoby, a potem jeszcze na trzy mile, potrzeba ponosić nowe kłopoty i konie najmować. Wyjeżdża się zwykle z Krakowa wieczorem, aby o chłodzie zacząć drogę i stanąć w dużej i porządnej karczynie na nocleg, o którą im dalej tem trudniej, a nocować w każdym razie trzeba, bo jednym dniem żadnym sposobem stanąć na miejscu nie można. Już to przyznać należy, że podróż ma bardzo poetyczny charakter, szczególnie dla przyzwyczajonych do podróżowania kolejami jedynie. Wyobraźmy sobie wózek góralski, to okienko którym się na świat boży wygląda, to usłane z siana siedzenie i całe gospodarstwo z sobą wzięne, a nakoniec tego górala mówiącego do koni językiem, który dla rzadko kogo z podróżnych jest zrozumiałym, jak naprzykład „wiszła“ na prawo, „hajta“ na lewo, a to wszystko wzięte przy świetle księżyca w cudnej okolicy w obec piętrzących się w dali ciemnych szczytów Tatr, robi wrażenie snu czarownego. Przybywszy na nocleg dostaje się względnie porządną izbę i łóżko postane pierzami lub materacem; do jedzenia znaleźć możesz jedynie jaja i kartofle jeśli takowe są. Zresztą musisz mieć wszystko z sobą: własny samowar, bez którego ani rusz się do Zakopanego, własne mięsiwo, wędliny, których ile można zabrać należy z sobą na zapas, bo w Zakopanem o żadnych zakąskach na miejscu myśleć nie podobna. Żyje się tam, a raczej broni od śmierci głodowej łąką dwóch restauracyi, które ci w pierwotny bardzo sposób ciepłym pokarmem o tyle obdarzą, abyś nie umarł. Zupełnie inaczej, jeżeli ktoś ma ochotę i możność prowadzenia kuchni własnej,

choć i wtedy nawet trudność dostania prowiantów często bardzo przedstawia niezmiernie kłopoty.

Ale powróćmy do noclegu; po przespaniu się góral przededniem puka w okienko, że czas jechać. Kawę dostaniesz, jeżeli ją zamówił wczoraj—i dalej w drogę, ciągle z góry na górę, coraz wyżej, wyżej a wyżej i coraz chłodniej a chłodniej. Nareszcie późnym wieczorem, po dwóch popasach staje się w Zakopanem, a szczęśliwy kto ma zamówione naprzód mieszkanie, bo w przeciwnym razie musisz po nocy od chaty do chałupy zaglądać, by sobie coś słusznego wybrać, a wiesz, jak wspominałam, kilka wiorst długa i jeszcze po bokach się rozszerzająca. Lud w ogóle poczciwy, sprytny, o wiele wrodzoną inteligencją przechodzi naszego chłopca z królestwa, zawsze przecież należy bardzo ostrożnie się umawiać o wszystko. Co umówione dotrzyma święcie każdy, lecz nie nad to—o wszystkim więc pamiętać trzeba, wszystko wymienić należy. Chata składa się zwykle z jednej izby z alkierzem lub z dwóch takichże po dwóch stronach; dawniej mieszkania te były bardzo tanie, lecz dziś lud zmądrzał, z napływem gości coraz wyższe nakłada ceny. I tak dawniej można było cały dom zajmować na lato za 10 papierków (papierek znaczy gulden austriacki), dziś rachują na tygodnie najem mieszkania, i często za jedną izbę po jednej stronie każą sobie płacić tygodniowo po 3 do 4 a nawet 5 guldenów, ale tacy są znani ze zdzierstwa, i do tych liczą sławnego bogacza i handlarza win w Zakopanem Staszczka, który posiada kilka domostw. Dojeżdża się do Zakopanego kamienistą bardzo drogą, przebywszy tuż podę wsią w bród Czarny Dunajec, bardzo bystro, lecz płytko po kamieniach płynący, a zanim wjedziesz do wsi malowniczo wśród drzew się ciągnącej, masz niby to rynek, mały plac, na którym nigdy nie niema do kupienia, a cały ruch miejscowego handlu przedstawiają: jedna karczma z szynkiem, w której żyd rzeźnik szlachtuje dwa razy na tydzień podrosłą jałowiznę, lub zbiedzono i nie dające mleka krowiny; dwie restauracje tem mianem ochrzczone, niedozwalające z głodu umrzeć przyjeźdnym, sklep żydowski bardzo porządny, w którym od bułek, chleba, soli, pieprzu, kramarszczyzny, kolonialnych towarów i farfury potrzebnej do przebycia tam kilku tygodni, oraz win węgierskich i innych, wszystkiego dostać można, nawet bardzo dobrych ciastek, makaroników i innych, powtarzam bardzo dobrych, bo często w niższego rzędu cukierniach nie ma i takich. Sklep ten jest pociechą w utrapieniach, pędzonego w Zakopanem życia.

Na prawo nie wjeżdżając jeszcze do wsi, stoi schludny drewniany kościółek, i bardzo porządna plebania, otoczona ulami, ogrodem i gospodarskimi zabudowaniami, świadcząca dobrze o żyjącym tam duchownym, szanowanym w całej okolicy, który pochodząc sam z ludu górskiego umie prawdziwie chrześcijańskiemu życiu, prostą a trafiającą do pojęcia i serca mieszkańców wymową i przykładem prowadzić powierzone sobie dusze.

Oprócz plebanii dawnej, w zeszłym roku zbudował proboszcz nowy dom mieszkalny, nieco w oddaleniu od kościoła na samym wjeździe w obręb Zakopanego ze wszelkim komfortem i możliwymi ulepszeniami, a nawet piwnicą i obiciem ze starych gazet. Dom ten przeznaczony dla gości, oddany został do dyspozycji Dr. Chałubińskiemu, który wszędzie i zawsze umie dobrze czynić i zasługą sobie skarbić, a w roku zeszłym z powodu grasującej tam po raz pierwszy cholery, przedłużył swój pobyt aż do śniegów, poświęcając czas szacowny i naukę dla biednych górali pozbawionych wszelkiego innego ratunku. Niedość na tem, Dr. Chałubiński, chcąc podnieść upadłego ducha ludu i razem uwydatnić wśród dzikiej natury ślad istnienia człowieka, postawił własnym kosztem i staraniem na jednym z najwyższych szczytów góry, Gubałówka zwanej, do której przystęp jest bardzo trudny, krzyż ulany w hamerni przyległej, przeszło na 12 stóp wysoki.

Dr. Chałubiński zostawił biednym góralom niezapomnianą po sobie pamiątkę, obdarzył ich darem cenny nieobrachowanej, bo wśród zimy, gdy śnieg zasłania do koła, góry i doliny, gdy myśl i życie ubożego tego ludu zdaje się też krzepnąć i obumierać, wtedy widniejący wsząd krzyż przemawiać zaczyna boską swą wymową: zamożniejszym mówi o mi-

łości bliźniego, uboższym daje pociechę i widnokrąg ich nadziei po za zamknięty ich świat rozciąga, a wszystkich wznosi wzrok do góry.

Lud w ogóle jest dobry; mężczyźni piękni, wysmukli, o wyrazistych rysach, zręczni w ruchach, co jest naturalnym wpływem ciągłego wdrapywania się na góry i skały, po których biegają jak koty, a nie słyszałam nigdy, aby tu kto spadł i uległ przypadkowi; choćby z największej pochyłości zeskakują bez szkody, skoro tylko nogi mają obute w kurpie. To tylko mnie zastanawiało nieraz, z kąd czerpią siłę na ciągłe wycieczki, gdyż z powodu nieżyźności gruntu, który prócz owsa i małej ilości wodnistych, małych, późnych kartofli, nie nie wydaje, żywią się głównie chlebem owsianym i takimiż kluskami, które kraszą koziem mlekiem. Do smaku tego mleka trudno nam, przyzwyczajonym do dobrego krowiego mleczywa, przywyknąć, ale tu krowy są całe lato w górach na odległych pastwiskach, halami zwanych, u podnóża zaś Tatr, gdzie wiesz leży, niema zupełnie pastwiska, gdyż cały grunt w nizinie jest twardy i skalisty. Z hal, gdzie całe trzody owiec, kóz i krów się paszą, dobytek ten nie wraca wcale w dolinę aż późną jesienią; budują też sobie w górach szałas, gdzie mieszkają pasterze, zwani juhasami, z naczelnikiem swym bacą. Juhasy zajmują się wyrabianiem ze słodkiego mleka koziego sławnej kuracyjnej żętycy w dwóch rodzajach, gęstszej i rzadszej, smaku niemiłego. Z mleka krowiego i owczego robią masło i serki naśladowujące owce, ale czy te z powodu mieszanego mleka, czy też innej jakiej przyczyny, wyroby te są suche, twarde, łykowane, i nieczem nie przypominają naszych wyborzych owczych i krowich serów. Masło krowie przynoszą kobiety z przyległych wsi, czasami wcale niezłe, w ogóle jednak nie takie, jakiegoby się na wsi w górach spodziewać można. O mleko i śmietankę bardzo trudno w Zakopanem, i to jest źródłem pokusy dla tutejszego ubożego ludu a ciągłego niezadowolnienia ze strony przybyszowych mieszkańców, którzy chcieliby mieć przynajmniej nabiał dobry i świeży, a który ściągać tu trzeba o kilka wiorst, a nawet o parę mil z okolicy. Za to niełatwo sobie wyobrazić, jak pyszne, wonne i wyborne są poziomki, które przynoszą z gór w obfitości tak wielkiej, iż za garncowy garnek płaci się mniej więcej 20 centów to jest 24 gr. polskie. Mięsa, jak mówiłam, dostać można u miejscowego rzeźnika; jaja, czasem kureczka, kładę nacisk na *czasem*, donoszą okoliczni mieszkańcy. Ryby częściej dostać można, bo w samym Zakopanem, w niektórych zatokach Dunajca wiedzą górale, gdzie należy szukać małych łososi, lub smacznych a rzadkich srebrysto-różowych pstrągów. Chleb i bułki bardzo dobre wypieka kilku piekarzy żydowskich, najlepsze u miejscowego pacheiarza, który zimową porą w pachcie krowy trzyma.

Wszystko razem streściwszy, łatwo zrozumieć, że pobyt w Zakopanem dla osób cierpiących, czy delikatnie wypieszczonych, lub starszych jest zbyt uciążliwym, bo pozbawiony wszelkich wygod. Dostawsz się raz do czterech drewnianych ścian, mieszczących w sobie stół długi, ławy w około izby i parę łóżek bez sienników, któremi należy się koniecznie w Krakowie zaopatrzyć, gdyż zaledwie w kilku chatkach można je znaleźć, o żadnych wykwintniejszych wygodach życia niema nawet mowy. Samowar, szklanki, nóż, widelce, łyżki — jednym słowem wszystko trzeba mieć swoje, jak również kawę i herbatę, których nigdzie nie można dostać. Wprawdzie garnuszków, łyżkę drewnianą, miszkę do mycia, dzbanek do wody dostanie się od gospodarza, ale tylko zamożniejszego, jest nawet kilka zagród gdzie gospodyni podejmuje się gotować i daje swoje naczynie, ale są to wyjątki. Pranie bielizny przychodzi z tą samą trudnością.—Kto ma swoją służącą musi zbierać po całej wsi statki do prania, garnki do wody. Bez żelazka do prasowania niech się nikt nie puszcza, ale ostrzegam, że z lekkimi sukniami do prania i tak bieda, bo prosto kto niema służącej, ten w oddalonych częściach Zakopanego musi szukać praczki, która rzeczywiście zamoczy bieliznę i suchą odda, ale też na tem jej kunszt prania się ogranicza, że bielizna była w wodzie i jest wysuszoną; najroztropniej więc tyle bielizny wiać z sobą aby cały pobyt w Zakopanem nią opędzić.

Przecież wszystkie te smutne kłopoty powszedniego życia nagradza sownie niewypowiedzianie

zdrowe, czyste, wzmacniające powietrze i wspaniałe piękności natury, które oddziaływać muszą nawet na mniej poetyczne i wrażliwe osobistości, bo są piękności jeszcze dzikie, nietknięte ręką ludzką, nie od razu się ujawniające i nieprzejrzane jeszcze w różnych swych zakątkach. Każda nieledwie wycieczka odsłania oku podróżnika nowe powaby; patrzysz, podziwiasz i stoisz zdumiony, w zachwycie nad cudami piękna, które się w okół ciebie rozciąga.

Ale najbardziej obznajmiony z okolicami Zakopanego przybysz nie może się puszczać samotnie na wycieczki w góry, bez przewodnika. Przystęp do gór jest bardzo mozolnym; wszędzie ścieżki kamieniste, droga skalista, przeplatana strumieniami Czarnego Dunajca, którego szumiące wody, uderzając ciągle z łoskotem o wielkie kamienie tworzą małe wodospady i to się wiją w dolinie wśród zarośli, — to znów je widać pomiędzy niebotycznymi skałami, co niezmiernie urozmaica krajobraz, ale wycieczki w góry bardzo uciążliwymi czyni. Koźmi rzadko gdzie i to niedaleko jechać można, bo najczęściej jedziesz milkę — a dalej czeka cztero lub pięcio-godzinną podróż piesza po ostrych kamieniach. Wprawdzie nagrodą bywa zawsze cudny jaki widok, ale na to potrzeba mieć nie tylko młodość duszy, ale i młodość fizyczną: siłę ciała, mocne nogi i wygodne obuwie. Przewodnicy górale są bardzo chętni, szczególnie dla kobiet wyszukują najwygodniejszych przejść, prowadzą, przenoszą, lecz nie nie pomoże tu chęć i spryt, gdzie trzeba naprzykład przebywać wodę, przeskakując z kamienia na kamień, ze skały na skałę. Wysokie obcasy są tu niemożliwe; górale okuci w lekkie swe chodaki ze skóry dobrze przywiązane łyżkiem, wspinają się łatwo; dla nas nieprzyzwyczajonych, wycieczki takie, połączone z wielkim zmęczeniem, tylko wtedy są smaczne, gdy nogi swobodnie stąpać mogą. To też potrzebne tu jest koniecznie obuwie skórzane, bez obcasów i korków, miękkie, a jednak na grubej, pasowej podszewie i bez dwóch par takiego obuwia nie można się obejść w Zakopanem. Jedno będzie zawsze w reparacji u szewca miejscowego partacza, a drugie w użyciu. Kto nieposłuszny dawanym mu radom w eleganckich obcasach na wycieczkę się wybierze temu muszą później górale siekierką na miejscu je odcinać dla ulżenia biednym zmordowanym nogom.

Pobyt w Zakopanem jest prawdziwym użyciem powietrza, jeżeli czas służy pogodny. Po samej przechadźce w pobliżu domu i drobnych zatrudnieniach, bo nikt się tu z żadną wielką pracą nie wybiera, następuje wczesny obiad, a po obiedzie wycieczka w góry. Przy zachodzie słońca zawsze chłód jest bardzo ostry, mianowicie w górach, bez pleda też lub ciepłego okrycia nie można się ruszyć. Wycieczki większe całodzienne zwykle robią się w większych gromadkach, a kilka tygodni pobytu nie wystarczy na zwiedzenie całej okolicy. P. Walery Eliaz, malarz Krakowianin, którego piękne opisy Karpackiej przyrody znają czytelniczki *Bluszezu*, przysłużył się publiczności pożyteczną książką: *Przewodnik do Tatr i Pienin* i tam to przybywający do Zakopanego znajdzie szczegółowe powiadomienie gdzie i jak zwrócić mu się należy, aby poznał, co widzenia godne. Najwyższym szczytem chwały dla odważnego turysty jest zwiedzenie Morskiego Oka, ale że dotąd szłaś na pół drogi pomimo obietnic nie wybudowano, a wycieczka wymaga dwóch dni z narażeniem się na słotę, deszcz, a nawet burzę częstą w tych okolicach, rzadko więc kto, a mianowicie też kobieta, odważa się na podobną wyprawę. Obietnica w przeszłym roku była bardzo uroczyście ponawiana, ale od obietnicy do rzeczywistości więcej jak krok jeden. Wycieczki te, prócz stosunków towarzyskich na miejscu zawartych, stanowią jedyną w Zakopanem rozrywkę, starczy ona jednak, i każe zapominać, że po za doliną Zakopanego i szczytami Tatr jest jeszcze jakiś świat inny, który albośmy zostawili za sobą, albo przed sobą mamy, bo to właśnie pobyt w Zakopanem, ma do siebie, że od chwili przybycia do dnia wyjazdu, każdy się czuje zdrowym, lekkim na ciele i duszy i bezwiednie zapomina trosk, jakie mu w życiu dokuczają. Ale niezbędnym do tego warunkiem, jest pogoda; gdy przecież deszcze, lubiące nawiedzić dolinę, trwają parę tygodni, wtedy najmiłsze nawet sąsiedztwo niewiele pomoże, bo dostać się z chaty do chaty jest to odbyć wyprawę przez przepaść. W początkach sierpnia już

o ósmej ciemno, drogi kamieniste i błotniste, ciemność zupełna, gdzie tu myśleć o tem, aby się do kogo dostać i na miłej pogawędce wieczór spędzić. Trzeba chyba posługiwać się wózkami góralskimi, który konie posiada, ale rzecz jest dość kosztowna, a jeszcze na nią z pewnością liczyć nie można.

W ogóle pobyt w Zakopanem jest bardzo tani, bo jak i na co wydatkować w miejscu, gdzie niczego dostać nie można, choćby się pragnęło? To też przebywanie tu można uważać za dobrą szkołę wstrzeźliwości i poprzestawania na małym, a kto wie czy prostota prowadzonego tu życia nie wpływa na równi z powietrzem na rzeźność która w każdym wstępuje. Piękność dzikiej przyrody, czarownie do kół otaczające człowieka, stanowią inne znowu pokrzepienie, po które warto jechać i przebyć tak mozolną drogą.

Lucyna Cwerciakiewicz.

ZARYSY AZYI ŚRODKOWEJ

(Przez N. Karazina).

(Dalszy ciąg).

Kara-Kirgizki dosyć są ładne, o ile rozumie się piękność może uwydatnić się w kształtnych formach ciała, w zdrowej cynamonowej barwy cerze twarzy, z silnym rumieńcem, w wesołym wreszcie, uprzejmym spojrzeniu. Patrząc na cenne przymioty typu kobiecego tych okolic zapominamy, lub przynajmniej nie dostrzegamy wyraźnie zbyt wydatnych kości policzkowych, ukośnie zarysowanych oczu i szorstkich, nastroszonych włosów. Gdy zaś zobaczycie Kara-Kirgizkę w całym przepychu i blasku stroju świątecznego, jadącą wierzchem na ognistym rumaku i pędzącą galopem przed tłumem uganiającej się za nią młodzieży, to jakże blademi wydadzą się w porównaniu z nią typy naszych limfatycznych dam światowych niezgrabnie kręcących się na cichych bo doskonale ujeżdżonych koniach po alejach europejskich parków.

Zwykły kostium Kirgizek składa się z długiej koszuli i szerokich spodni, szlafroka i turbana na głowie; cały ten strój zrobiony jest z niebieskiej bawełnianej materyi, prócz turbana, który zwykle bywa białym. Podczas zimowych miesięcy, bawełniany szlafrok ustępuje miejsca innemu z sierści wielbłądziej. W czasach publicznych uroczystości cały strój kobiet błyszczy jaskrawością i niezwykłą oryginalnością. Wtedy kolorem przeważającym bywa czerwony, zamiast turbana kładą na głowę wysoką przepaskę podobną do kaszkietu wysokiego a utkaną monetami i obszytą galonem. Splecione w niezliczone warkocze włosy, przeplatane są kolorowymi fałszywymi perłami na całej zaś szyi wiszą rozmaite brząkałki, głównie złote lub srebrne monety, wydające przy każdym poruszeniu bardzo oryginalny i melodyjny dźwięk.

Zresztą przynależny, że najuczciwsi i najbardziej niemile prace są udziałem tutejszych kobiet; one to rozstawiają kibitki, doją kłaczki i krowy, troszczą się o wielbłądów, szyją, wyrabiają wojski i dywany, przygotowują kumys i t. d. — Na ciężar obowiązków męczyzny przypada tylko pasterstwo i myśliwstwo, albo lepiej mówiąc tylko to ostatnie, dla tego, że mi często zdarzało się widzieć olbrzymie stada (attary) owiec i tabuny końskie pod dozorem samych tylko małych chłopców, z których najstarszy liczy nieraz zaledwie lat 15.

O jakimkolwiek wykształceniu, a nawet o umiejętności czytania i pisania niema co i mówić w tych

stronach, dla tego też jeżeli wypadkowo napotkają tutaj osobistość mogącą z trudnością odcyfrować który z nadgłówków ma pierwszej stronicy Koranu zamieszczonych, to ją uważają za najuczciwszą pomiędzy mędrcami świata. Za to zdolność do przechowywania tradycji i podań mają w wysokim stopniu rozwiniętą, legendy i fakta odnoszące się nawet do epoki Tamerlana, lub nie o wiele późniejszej powtarzane bywają z rzadką dokładnością, jak gdyby wypadki zaszły nie dawniej jak przed dziesięcioma laty. Żywymi przechowywaczami podobnych podań rozszerzającymi je pośród tłumów są właśnie wędrowni pieśniarze-improvizatorowie tacy jak Hassan, który poszedł napić się kumysu do kibitki Ablaja-bija ukończywszy swe pieśni natchnione.

Nocą, gdy wszyscy już spali nagle powstała straszna trwoga w całym aule. Kirgizi galopowali na koniach, skacząc po przez resztki wygasłych ognisk, przez parkany, zaczepiając i przewracając wszystko co napotkali na drodze, konie, muły, wielbłądy podniosły ogony wskakiwały tylko na nogi i miały się w ciemnościach niby olbrzymie cienie. Namacalem w pomroce swoją dubeltówkę i wyskoczyłem z kibitki. Rzecz wkrótce się wyjaśniła; przyczyną trwogi całej był pojmany podczas ostatniego polowania dziki koń stepowy, który zdołał wyrwać się z krępujących go arkanów i wyskoczył poza oparkowanie z sitowia. Wszystkie usiłowania w celu sehwywania go na nowo okazały się daremnymi; stepowiec uciekł z aulu i podążył na rodzinne błonia.

Pogoda zmieniła się nad ranem i bynajmniej nie na lepsze; z początku zaczął padać drobny deszczyk, potem zmieszal się z nim grad, a na koniec spadł śnieg gęstymi płatami. Okoliczność ta była szczególnie nieprzyjemną dla mnie, dla tego, że zamierzałem nad ranem opuścić gościnny aul, a odkładanie chwili odjazdu było dla mnie z wielu przyczyn wielce niedogodnem.

Drugiego dnia nad ranem pożegnałem się z Ablajbijem i wyjechałem z Dzirgałły. Wychodząc z kibitki, ażeby się na koń, zauważyłem, że moje siodło spoczywa nie na siwoszu, na którym dotychczas odbywałem drogę, ale na innym jakimś koniu. Przypatrzawszy się bliżej, poznałem tego złocistej masy ogiera, który mi się tak spodobał kilka dni temu i którego tak nieostrośnie głośno pochwaliłem. Była to niezwykle uprzejmość ze strony Ablaja-bija. Na nieszezęście nie mogłem wtedy odpowiednio wywdziżyć się gospodarzowi i uczyniłem to dopiero później, podarowawszy mu dwururzną strzelbę ze wszystkimi przyborami. Ciężary z obu naszych koni spoczęły teraz na plecach mego siwosza i wkrótce wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Jadąc z powrotem nie wstępowałyśmy już do mirzy Ablajara, Bajtak bowiem odszukując ciągle najprostszej drogi przeprowadził mnie w odległości dwudziestu wiorst od koczowiska tego kirgizkiego władcy i pierwszy nasz nocleg wypadł w górach pod otwartym niebem. — Na drugą noc przybyliśmy do znajomej już nam uprzednio jaskini, w której znaleźliśmy towarzystwo złożone z czterech Kirgizów. Pokazało się że jeden z nich jest starym znajomym mego służącego i obaj bardzo się cieszyli ze spotkania. Cztery te indywidua wydały się mi wielce podejrzanymi i nie omyliłem się bynajmniej w domysłach, gdyż na drugi dzień w drodze Bajtak powiedział mi że między nimi znajdował się jeden z najbardziej doświadczonych i zuchwałych rozbójników, Szaryk, o którym już niejednokrotnie poprzednio słyszałem na pogranicznych stanicach kozackich, gdzie zyskał był sobie smutną sławę jako sprawca śmiałych nadzwyczaj kradzieży w nich dokonywanych.

Do kozaków—drwali także nie zajeżdżaliśmy, gdyż Bajtak wiódł mnie w zupełności inną drogą jeszcze mniej wygodną od poprzedniej, lecz wedle

jego zdania daleko krótszą. Wprawdzie teraz nie potrzebowaliśmy już przedzierać się przez gęste zarośla górskich lasów, lecz za to przebywaliśmy takie łańcuchy gór i spuszczałyśmy się po tak spadzistych i wązkich ścieżkach, że na każdym kroku podziwiałem siłę i zręczność nóg naszych koni.

Około godziny jedenastej z rana spuściliśmy się z gór Ałmatyńskich. Dzień był jasny i dęsy mroźny, chociaż w tyle za nami w górach kłębiły się ciężkie ołowiane obłoki, spuszczać się coraz niżej i niżej. Wilgotny wichur wyl niemiłosiernie, wstrząsał silnie kosmatymi grzywami naszych koni i zagiął długie ich ogony.

Bajtak kłusował przedemną, weisnawszy na uszy ostrokańczastą swoją czapkę. Kozacka gwintówka przewieszona przez ramię przylegała do szerokich pleców mego przewodnika.

Rachując na to, że jeszcze za dnia dotrzemy do stanic kozackich, Bajtak radził ruszyć prosto stępem, śnieg nie był głębszym nad dwa werszki i konie mogły biedz po nim nader wygodnie.

Cicho i ponuro było na około, tylko w dali na białej równinie migwały tu i ówdzie czarne punkciki; były to małe stepowe wilki, których ślady w różnych kierunkach znaczyły naszą drogę. Sztuk dziesięć tych wstrętnych stworzeń obsiadło na pół zjedzonego trupa wieblada, w odległości około 300 kroków od nas. Bajtak przeraźliwie krzyknął, wystraszone wilki uciekły w różne strony niespokojnie i z chciwością oglądając się na porzucone tak nie w porę śniadania.

Chmury coraz bardziej kłębiły się i nadeiwały, wiatr dał spokojniej i równiej, w powietrzu zabłyszczały mriady białych płatków, które stawały się z każdą chwilą widoczniejszymi i większymi i jak gdyby pudrem obsypały nasze kosmate burki.

— Będzie zamieć śnieżna, zamruczał pomiędzy zębami Bajtak i nahajką pogonił swojego konia.

— A cóż czy dostaniemy się dosyć wcześniej jessze na drogę? Spytałem mego przewodnika.

— A Ałlach od czego? odmruknął unikając widocznie szerszej odpowiedzi. Nie chciał się omylić, a jako człowiek doświadczony doskonale wiedział jak groźnemi są zamiecie w tych stronach.

Massy śniegowe gwałtownie spadały na ziemię. Wiatr co chwila zmieniał kierunek co ostatecznie zbijało nas z tropu. Zmęczone konie potykały się, odwracały głowę od wiatru i zmniejszały bieg pomimo ciągłych nawaływań i poduszczeń z naszej strony.

Przez cztery godziny jechaliśmy w ten sposób. Zaczęło się ściemniać. Nie zważając na to, że starałem się usilnie, jechać tuż za Bajtakiem, zaledwie mogłem odróżnić zarysy jego olbrzymiej postaci. Trzy razy zmuszeni byliśmy zatrzymać się w drodze i otrzępywać się; śnieg bił prosto w twarz, zalepiał nam i koniom oczy. Przewodnik mój mrucał coś sobie pod nosem i dosłyszałem słowa *tulajm dzaman*, co znaczy zupełnie źle, słowa, które nie mogły mnie bynajmniej pocieszyć i natchnąć odwagą i otuchą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: Teatr moralny. — Niewiasta polska, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcieckiego. — Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Kolonista w Irlandyi, dramat, (dalszy ciąg), przez Pawła Heise. — Zakopane. — Zarysy Azji środkowej, (dalszy ciąg), przez N. Karazina.